

**JULES VERNE**

ANIOŁ KOPALNI

WĘGLA

Jules Verne

**Anioł kopalni węgla**

«Public Domain»

## **Verne J. G.**

Anioł kopalni węgla / J. G. Verne — «Public Domain»,

Skrócona i zredagowana wersja powieści Czarne Indie, stanowi przykład mistrzowskiej pozycji literackiej dla młodzieży o intrygującej i wzruszającej fabule. Akcja osadzona jest w dusznej atmosferze kopalni węgla i pobliskiej wiosce. Anna, młodziutka dziewczyna, zmuszona trudnymi warunkami życiowymi postanawia zatrudnić się w kopalni, aby zarobić na utrzymanie rodziny. Ukrywa przed najbliższymi prawdę, gdzie pracuje, w obawie, że otrzyma zakaz narażania się na ryzyko śmiertelnego wypadku. Robotnicy, początkowo nieufni i wrogo nastawieni, z czasem dostrzegają w niej prawdziwego anioła, zesłanego, aby ich chronić. Annę pokochają wszyscy, a ona wkrótce z oddaniem poświęci się nauczaniu robotniczych dzieci.

# Содержание

Rozdział I	5
Rozdział II	11
Конец ознакомительного фрагмента.	12

# Jules Gabriel Verne

## Anioł kopalni węgla

### Rozdział I

Była to okolica bardzo malownicza. Nie dostrzegało się tu ani skał urwistych, ani przepaści przerażających, tylko pagórki uśmiechnięte, pokryte zielenią drzew; trawniki gęste i szerokie strumyki, użyźniające łąki ubarwione kwiatami.

Rozrzucone tu i owdzie na płaszczyźnie ładne domki bielily się pomiędzy drzewami, dobrobyt panował w okolicznych wioskach, i śpiew rolników zlewał się często ze szczebiotem ptasząt.

Jak tylko w początkach XIX wieku utworzyła się w bliskości tych miejsc tak świeżych, wesołych, uroczych, zielonych, kopalnia węgla, natychmiast zmieniła swoje oblicze cała powierzchnia kraju.

Kłęby dymu pokryły atmosferę, jakby kirem żalobnym; woń kwiatów zastąpiły jadowite wyziewy, a echa rozlegały się li tylko brzękiem łańcuchów i skrzypieniem trybów maszynowych.

Ludzie, pracujący przy kopalni, wyglądali tak dziko, że wieśniacy przypatrywali im się z pewnego rodzaju bojaźnią.

Niektórzy z mieszkańców często zbliżali się do krawędzi studni, służącej jako wejście do kopalni węgla, ale nikt z nich nie miał odwagi wejść do podziemi.

Powiadano bowiem, że od chwili, kiedy kopacz wstępuje w koszyk, zawieszony nad przepaścią, w którym spuszcza się do wnętrza kopalni, życie jego zostaje w ciągłym niebezpieczeństwie. Podczas przeprawy bowiem trzeba się było ciągle obawiać i niebezpiecznego spotkania z drugim koszem, idącym w górę.

Przy wymijaniu odpycha się go nogą, ale jeśli przytem wykona się jaki ruch niezręczny lub oprze się ręką o gładką i śliską ścianę studni, wówczas kosz zaczyna gwałtownie wirować, i siedzący w nim, straciwszy przytomność, spada na dół.

Jeśli tego wypadku szczęśliwie uniknie, może się urwać sznur, upaść kosz, oberwać jaki odłam kamienia i zabić lub zranić zjeżdżającego.

Wewnątrz kopalni jeszcze większa obawa niebezpieczeństwa, gdyż zdarzają się wypadki zawalenia się sklepień, oberwania się ścian bocznych, wybuchu gazów piorunujących, zalania wodą, słowem, życiu górników ze wszech stron zagraża tysiące niebezpieczeństw, większych i okropniejszych, niż w czasie walki na polu bitwy. Pozbawieni powietrza i światła, brodząc w błocie pod sklepieniem mokrem i nizkiem, zgięci, bez możliwości wyprostowania się, pracują często w postawach takich, że trudno pojąć, jak mogą w ten sposób trwać po kilka lub kilkanaście godzin bez przerwy.

Zadziwieni tem opowiadaniem wieśniacy oddalali się z przekonaniem, że los ich jest istotnie szczęśliwszym od doli biednych górników, połowę życia we wnętrzu ziemi przepędzających.

Mimo tego znalazła się przecież młoda dziewczynka, która zapragnęła poświęcić się pracy górniczej<sup>1</sup>.

Młodziutka, zaledwie czternastoletnia, miała ojca chorego, widziała go w cierpieniach, więc postanowiła nieść mu pomoc według sił i możliwości.

Jan Iward żył niegdyś w dostatkach, ale różne niepowodzenia wyzwały go ze wszystkiego, co posiadał.

---

<sup>1</sup> młoda dziewczynka, która zapragnęła poświęcić się pracy górniczej – dziś w wielu krajach prawo zabrania pracy kobiet w kopalniach, ale w czasie, w którym się akcja naszej powieści odbywa, nie było pod tym względem ograniczenia. [przypis autorski]

Zamieszkawszy na wsi z dwiema córkami, Maryą i Anną, dopóki mógł – pracował na zaspakajanie potrzeb domowych, ale złożony dotkliwą chorobą, przykuty do łoża boleści, spostrzegł, że wkrótce całej rodzinie grozi straszna nędza.

Starsza córka, Marya, wylewała obfite łzy, pracowała bez wytchnienia, lecz w nieszczęściu nie miała tej koniecznej dzielności charakteru, który pomaga, aby walczyć z wszelkimi przeciwnościami i pokonywać przeszkody jedne po drugich.

Anna, młodsza jej siostra, była charakteru zupełnie innego: zastanawiająca się, rozważna, niczem się niezrażająca.

Matka ich już nie żyła, ojca obie kochały bardzo, ale gdy Marya nie zastanawiała się, że przewyższał wielu szlachetnością duszy, rozumem i niczem nieustraszoną odwagą, Anna umiała oceniać w nim wszystkie te przymioty, i z miłością ku niemu łączyć bezmierne uwielbienie.

Gdy mu się z ust wyrwała skarga, Anna czuła, że jej serce omdlewa, bo pojmowała, że cierpiał męki nadludzkie.

Wtenczas to, myśląc, że drobna kwotka pieniędzy wystarczyłaby, aby mu kupić to, co mogłoby przynieść ulgę w cierpieniu, a może i uzdrowienie, sądziła, że nie było pracy, którejby, dla zdobycia owej kwotki, nie zdołała dokonać.

Ale któżby chciał dać jakąkolwiek pracę dziewczęciu na pozór tak wątłemu?

Pewnego dnia atoli zdawało się jej, że znalazła sposób urzeczywistnienia swoich marzeń.

Od chwili otwarcia kopalni węgla powstało w okolicy mnóstwo lichych lepianek, nędznie skleconych i pobielonych wapnem, które służyły za mieszkania dla górników i ich rodzin.

Nadto powiedziano jej, że do pracy w kopalni używano również wyrostków, i że zarobek ich był dość znaczny. Anna postanowiła skorzystać z tego.

Pewnego dnia, na chwilę przed powrotem robotników, idąc ulicą, utworzoną przez dwa szeregi domków, zatrzymała się przed jednym z nich.

W tejże chwili z drugiej strony pokazał się chłopaczek ośmioletni, idący powoli, jakby znużony zbyt dużym poprzednim wysiłkiem.

Stojąca na ganku domu kobieta, ujrawszy go, mruknęła coś i weszła do wnętrza mieszkania, chłopaczek zaś przyspieszył kroku, lecz kiedy już dobiegał do ogrodzenia, potknął się i upadł.

Anna podbiegła z pomocą i krzyknęła z przestachem, zobaczywszy krew, która sączyła się po twarzy chłopca.

Zaczęła go uspakajać, ocierać...

Matka, spostrzegłszy to, rozgniewała się na chłopca za nieuwagę, a Annę zaprosiła do wnętrza mieszkania, oświadczając, że ją uczęstuje za grzeczność i dobroć serca, jaką okazała jej synowi.

Pokoiki były dość starannie utrzymane: znajdował się w nich zegar, wielka szafa, łóżko nakryte perkalową kołdrą, a na półkach przy jednej ze ścian kuchni świeciły starannie poustawiane naczynia miedziane i sprzęty gospodarskie.

Od tyłu okna wychodziły na mały ogródek, w którym zwykle górnicy ze szczególną starannością utrzymują kwiaty. Na stole pod oknem stała przygotowana wieczerza z gorącym jadłem, do której z pośpiechem zasiadł zaraz młody chłopczyna i z tak wielką chciwością począł zajadać, że aż Annę to zadziwiło.

– Dziwisz się, panienko – rzekła matka – że mój zgłodzony chłopczyna ledwie się nie zadławi przy jedzeniu?... Ależ biedaczek od pół doby nic miał w ustach, oprócz szklanki mleka i kawałka chleba!

– Od pół doby! – powtórzyła Anna z wielkim podziwieniem. – I dlaczego?...

– Dlaczego? dlaczego? – przerwała kobieta. – Bo jest traperem, a traper na chwilę zejść ze swego stanowiska nie może.

– Czy zajęcie trapera bardzo jest ciężkie?

– Nie, panienko! – odrzekł chłopczyna – praca łatwa, ale niezmiernie nudna i przykra. Ja nic więcej nie robię, tylko całe dwanaście godzin, od szóstej rano do szóstej wieczorem, siedzę skulony we

framudze, tak wielkiej, jak kominek pokojowy i trzymam sznurek od kłapy. Jest to rzecz niezmiernie łatwa i każdy potrafi to zrobić, ja też sznurek ciągle trzymam, a gdy usłyszę głos człowieka, wiozącego małym wózkiem węgle, odmykam kłapę, i po przejściu jego znowu ją przymykam. Nad tą robotą nie namęczę się, tylko nudzi mi się straszliwie, bo w ciemnicy nie widzę nic, nawet własnej ręki, i nawet jednego słówka nie mam do kogo przemówić. Nieraz zdaje mi się, że nie mam oczów, i dopiero dotknąwszy się ich ręką, przekonuję się, że je posiadam.

– A dlaczegoż nie prosisz o światło? – zapytała Anna. – Mógłbyś brać ze sobą książkę i czytać ją...

– Ach, panienko! – odrzekł chłopczyzna z westchnieniem – kiedy czytać nie umiem...

– Nie było czasu myśleć o nauce! – szepnęła matka – już od roku pracuje w kopalni. Życie drogie, musi więc chłopiec na siebie zarabiać, bo inaczej nie dalibyśmy sobie rady.

– To może syn pani mógłby być użytym w kopalni do innego zajęcia?

– Lżejszego, panienko, już niema... Chybaby nosił węgle, albo woził je wózkiem, a to jeszcze trudniej, bo wtedy musiałby pełzać na rękach i kolanach pod skalistymi sklepieniami, częstokroć niemającymi więcej nad dwie stopy wysokości. Zresztą łańcuch i powróż, którymi się w takich razach krępują, ranią często aż do krwi.

– Ja się nie lękam niczego! – zawołał chłopczyk, ocierając usta – tylko obawiam się gniewu dozorczy min, gdyby mnie znalazł śpiącego, albo gdybym mu kazał długo stać u drzwi i kłapy za zbliżeniem się jego nie otworzył.

– O, mój Boże, mój Boże! – zawołała płacząc z politowania – jakże pani może dziecię swoje skazywać na takie męczarnie!

– Trudno, moja panienko, trzeba żyć, a on, choć młody, jednak zarabia dziesięć pensów dziennie.

– Dziennie dziesięć pensów! – zawołała Anna z radością – ach! to więcej, niż mi potrzeba. Powiedz mi, błagam cię, czy w kopalni używają do roboty małych dziewczyn?

– Używają, owszem, ale jest to praca niezmiernie ciężka.

– O, pani! – zawołała Anna tonem najgorętszej prośby – wystaraj się dla mnie o taką pracę, choćby za połowę tej zapłaty, którą dają innym, a ucałuję ci ręce i nogi.

Gdy to Anna mówiła, młody robotnik, który przed chwilą wszedł do izby, spojrzął na dziewczynkę ze współczuciem, i udając, że się rozmowie nie przysłuchuje, zwracał jednak na wszystko pilną uwagę. Łucya, (tak się nazywała matka chłopczyzny), wysłuchawszy prośby Anny, pokręciła głową i odrzekła:

– Dla ciebie, panienko, praca w kopalni na nicby się nie przydała! Wyglądasz, jak pani, jesteś wątła i bojaźliwa, umarłabyś z utrudzenia, jeżeli nie ze strachu podczas spuszczenia się do kopalni... Szukaj innego zajęcia!

– Wszędzie go już szukałam, ale nadaremnie.

– Ależ chyba nie wiesz, że górnicy są narażeni na największe niebezpieczeństwa?

– Wiem o tem, i na tych właśnie niebezpieczeństwach opieram moje nadzieje. O, gdybyś pani wiedziała, co cierpi mój ojciec!... W chwili, gdy pozostaje samotnym, zalewa się łzami, trapi go choroba, martwi bieda w domu i przyszłość nasza... Pod brzemieniem cierpienia ugina się, choć taki mężny, silny i odważny. Bylejaki zarobek uspokoiłby go, zapewnił większe wygody, i na twarz jego, tak zasnę i kochaną, sprowadził uśmiech zadowolenia, tyle przez nas upragniony. Zarobku zatem potrzebuję koniecznie, choćby mi przyszło przytem narażać się na największe niebezpieczeństwa. Dopomóż mi, pani, do wynalezienia jakiegokolwiek zajęcia w kopalni, a ujrzę cierpienia mego ojca uspakajające się, ujrzę go zasypiającego spokojnie!

Mówiąc tak, z nadzwyczajną gwałtownością łamała ręce, i gęste łzy spłynęły po jej twarzy.

Anna była panienką niezmiernie delikatnego i łagodnego usposobienia; cera jej twarzy, zręczność i wdzięk w poruszeniach, drobne i delikatne jej ręce świadczyły, pomimo ubóstwa jej ubioru, że nie była stworzoną do pracy, której poświęcić się chciała.

Łucya patrzała na nią z litością, połączoną z uszanowaniem.

– Biedne dziecko! – rzekła – to, o co mnie prosisz, nie odemnie zależy. Wszystko, co mogę zrobić, to jedynie przemówić za tobą. Przyjdź jutro wieczorem, mój mąż przedstawi swoim przełożonym twoją prośbę i uwiadomi cię, jaką dadzą odpowiedź.

Anna podziękowała serdecznie, i wyszła z wielkim bukietem kwiatów, który jej Łucya z własnego ogródka ofiarowała. Młody robotnik, którego widzieliśmy z taką uwagą przysłuchującego się rozmowie Łucyi z Anną, był dość blizkim, choć przez Annę nieznanym jeszcze jej krewnym.

Ojciec jego, właściciel kopalni, gdzie pracował mąż Łucyi, był stryjecznym bratem ojca Anny.

Z początku młodzieniec, usłyszawszy o ubóstwie rodziny swojej, chciał prosić ojca o materyjalną pomoc dla krewniaków, wnet jednak zmienił zamiar. Wiedział on, że pan Iward odrzuciłby wszelkie pieniężne wsparcie nawet od rodzzonego brata. Postanowił więc pomódz im inaczej, mianowicie dać zarobek Annie.

To też, spotkawszy Annę, wychodzącą już z mieszkania, nie przedstawił się dziewczęciu, lecz ujął je za rękę i rzekł głosem głęboko wzruszonym:

– Odwagi, dobra panienko, odwagi! Opatrzność będzie czuwała nad tobą, bo dobrych dzieci ze swej opieki nigdy nie wypuszcza.

Anna, oddalając się, rozmyślała o konieczności ukrycia przed ojcem tego, co robić zamierzała, i o wynalezieniu powodu swej nieobecności, która miała trwać dnie całe.

Gdy za powrotem zapytał ją, gdzie tak długo bawiła, odrzekła, rumieniąc się i pokazując kwiaty:

– Mój ojcze, byłam u pani Łucyi, bardzo dobrej i uczynnej osoby, która przybiecała mi wynaleźć jakieś płatne zajęcie.

– Tobie, moja córko?

– Tak, ojcze! Czyż nie jestem w wieku odpowiednim do pracy?

– Niestety, jeszcze jesteś młoda i wątła. Najlżejsza praca może ci zaszkodzić.

– Zdaje ci się, mój ojcze! Wreszcie, choćbym miała doznać trochę utrudzenia, to czyż za nie nie byłabym stokrotnie wynagrodzoną, widząc cię, ojcze, spokojniejszym, i nie tak jak dotychczas zakłopotanym?

– O, jeżeli tak, moje dziecko, niech ci Bóg dopomaga i błogosławi! Szukaj pracy, przyda ci się ona w przyszłości, gdy wreszcie Bóg ulituje się nade mną!

Nazajutrz wieczorem Anna, umocniona w swem postanowieniu, wymknęła się i pobiegła do pani Łucyi, od której dowiedziała się z wielką radością, że jej prośba została przyjęta.

Dobra kobieta udzieliła jej mnóstwo rad i ostrzeżeń, co do nowych obowiązków. Umówiono się, że jutro, skoro świt, Anna przyjdzie do nich, aby pierwsze zejście do kopalni odbyć w towarzystwie Toma, męża Łucyi, który przyrzekł wziąć ją pod swoją opiekę.

Biedna Anna! Jakież wzruszenia miotają ją, gdy przed ranną jutrzeńką opuszcza dach ojcowski...

Na szczęście pan Iward używał właśnie tych krótkich chwil spoczynku, które mu się tak rzadko zdarzały.

Anna zachowywała się ostrożnie, aby go nie zbudzić. Uściskała serdecznie Maryę i wyszła z domu z duszą tak przygnębioną, jakby już nigdy nie miała powrócić.

U Łucyi już na nią czekano, zaraz też wszyscy ruszyli w drogę, i wkrótce zatrzymali się przy studni, która służyła za wejście do kopalni.

Aby dać pojęcie, jakim było podówczas wejście do kopalni, przytoczymy tu ustęp ze współczesnego dzieła, poświęconego opisowi „Europy Przemysłowej”:

Co to jest zstąpienie do kopalni węgla?... Oto wyobraźmy sobie, że stoimy na szczycie wieży kościoła „Notre Dame” w Paryżu. Malutki okrągły statek zwany *benne*, czyli poprostu koszyk, mający zaledwie dwie stopy głębokości, opuszcza się

przed nami, chwiejąc się na końcu grubej liny, i oddalony od muru na całą długość ręki.

Gdy czas wsiadać, żegnaj się z niebem i obłokami, schylaj się nad przepaścią, tak, iż można stracić równowagę. Chwila straszna; musisz stąpnąć jedną nogą w kosz, nie więcej jak jedną, bo druga się nie zmieści, i spuszczasz się w bezdeni, wirując bez chwili przystanku to w prawo, to w lewo.

Anna uczuła zawrót głowy, gdy trzeba było przebyć próżnię, aby wejść w powietrzny statek. Jak mogła, tak się powstrzymywała, aż wreszcie z przerażeniem krzyknęła:

– Ach, podtrzymajcie mnie, bo upadnę!

– Śmiało, odważnie!... – odezwał się tuż przy niej jakiś głos.

Anna odwróciła się, i ujrzała Franciszka, owego wczoraj poznanego robotnika, który jej powtórzył:

– Odwagi, panienko! Bóg strzeże i wspiera słabych!

Zresztą silna, szorstka ręka Toma już ją trzymała bez najmniejszej trudności, gdyż dla górników zjeżdżanie do kopalni jest zwyczajnem i spowszedniałem.

Odurzona Anna trzymała się mocno liny, do której był przywiązany kosz; na szczęście, mogła w nim umieścić obie swe nogi.

W miarę tego, jak spuszczała się pod ziemię, udręczenie jej zwiększało się; widziała widnokrag zwężający się, światło dzienne znikające; powietrze stawało się przyduszone, gęściejsze, temperatura wyższą.

Czasem szum wody ogłuszał ją na chwilę, jak gdyby gwałtowne wodospady miały się rzucić na nią, porwać i zatopić; czasem oczy jej rażone były blaskiem i gorącym wielkich ognisk, około których trzeba się było przesuwac.

Nic też dziwnego, że w głowie i w myślach Anny wszystko się kotłowało, chwilami zapytywała sama siebie, czy żyje jeszcze, czy też dusza jej stacza się już ku miejscu pokuty?

Nakoniec poczęły ją dochodzić z dołu nowe odgłosy: dźwięki głosów ludzkich występujące z głębi przepaści i zwiększające się co chwila.

Anna, oswajając się ze swem położeniem, przysła powoli do przytomności i domyśliła się, że zbliża się już do kresu swej niebezpiecznej podróży.

Nie śmiała się jednak poruszyć, wzniosła tylko oczy z przerażeniem ku przestrzeni, którą przebyła, i którą trzeba będzie jeszcze raz przebyć, aby wydostać się z tego okropnego miejsca, i zobaczyła malutki świecący punkcik: to była dla niej cała widzialna część nieba.

– Drżąca, blizka omdlenia, z trudnością postąpiła ku odłamowi skały, na której upadła raczej, niż usiadła.

Istoty jakieś dziwne krążyły koło niej, szły i wracały w otchłaniach krętych przejść, galeryi, korytarzy wązkich, ciemnych i wilgotnych, które schodziły się w punkcie wejścia do kopalni, lub wikały, jak zakręty labiryntu.

Krzyki, śpiewy dziwaczne rozlegały się pod sklepieniami, wstrząsanemi niekiedy hukiem, podobnym do wystrzałów armatnich.

Były to wybuchy prochu, używanego do rozsadzania skał.

Przy czerwonych błyskach latarni, umieszczonych w pewnych odstępach, Anna rozpoznała nakoniec, że ta gromada żyjąca, która ją otaczała, składała się ze zgiętych we dwoje kobiet, mężczyzn i dzieci, z worami węgla na plecach, oraz koni i mułów, zaprzężonych do ciężkich wózków.

Oszołomiona, nie mogąc pojąć, co się wkoło niej dzieje, ujrzała nagle przysuwającego się ku niej Tomasza, męża Łucyi, który trzymając coś w rodzaju kosza płaskiego, rzekł:

– Weź to, moje dziecko, włóż na ramiona i chodź za mną. Zaprowadzę cię do miejsca dla ciebie do pracy przeznaczonego.

Rzekłszy to, zapuścił się w galeryę, zrazu na tyle wysoką, że mógł postępować razem z Anną, ale wkrótce przejście to zaczęło się stawać coraz niższym i ciaśniejsem, wreszcie Tom zatrzymał się, mówiąc:

– Dalej, moje dziecko, nie mogę ci towarzyszyć, gdyż już nie zmieściłbym się w tem przejściu podziemnem. Musisz zatem iść sama aż do rębaczy, od których po napełnieniu kosza, wrócisz do miejsca, które ci już ukazałem.

## Rozdział II

Anna pozostała sama wśród ciemnego podziemia; zdawało się biedaczce, że lada chwila wszystko runie na nią, że się zabłąka w labiryncie tym bez wyjścia i że już nigdy nie zobaczy jasnej, oświeconej słońcem przestrzeni nieba.

Straciła zupełnie odwagę, chciała krzyknąć, ale głos jej zamarł w piersi. Zebrała jednak myśli i złożwszy pobożnie ręce, szepnęła:

– Boże, nie opuszczaj mnie!

Pokrzepiona modlitwą, ruszyła śmieiej w dalszą drogę.

Przejście stawało się coraz ciaśniejsze i niewygodniejsze, wreszcie Anna z wielką radością ujrzała się pośród jasno oświetlonej przestrzeni z nagromadzonemi wielkimi stosami węgla, około których dzieci, od ośmiu do dwunastu lat, zebrane w dość wielkiej liczbie krzątały się pilnie.

Była to chwila przeznaczona na przenoszenie węgla. Nikt nie zważał na Annę, nikt się nią nie zajmował; naśladując też swoje towarzyski, podsunęła i ona ku robotnikom koszyk, który w jednej chwili napełniono ładunkiem. Jednocześnie dwóch silnych robotników ciężar ten włożyło jej na plecy.

Anna ugięła się, ale na rozważanie nie było czasu, poszła więc za drugimi.

W korytarzu, którym postępowała, często się potykała, potraçała o ściany. Idące za nią robotnice nagliły do pośpiechu; nieraz zdawało jej się, że traci siły. Doszła jednak do oznaczonego miejsca, i wysypując węgle, z uczuciem niewysłowionej radości pomyślała:

– No, Bogu dzięki, pierwsza próba powiodła się, przewyciężyłam samą siebie, stanę się teraz pomocą dla mego ukochanego ojca. Jakaż wielka radość napęlnia moje serce!

Po długich godzinach zajęcia nadszedł dla robotników czas posiłku południowego i godziny wytchnienia, których tak potrzebowali.

Wnet wszystkie ręce wstrzymały się od pracy, draży powbijano w stosy węgla, ładunki, złożone na prędce, leżały na samym środku drogi, tłum ludzi zapełnił galeryę, wiodącą do miejsca, zwanego przez górników: salą jadalną. Był to wspaniały olbrzymi pokój, z pysznemi gładkiemi kolumnami, w którym zdawało się, że złoto i błękit łączyło się z hebanem, że sklepienie przystrojone kropelkami wody, lśni się perłami rosy. Tysiączne pochodnie rzucały na tę scenę światło tak jasne, jak światło pajaków i kandelabrow wielkiej opery paryskiej.

## **Конец ознакомительного фрагмента.**

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.